

DOBRCZE, DOBRZE

Dobrze to współczesna komedia napisana i wyreżyserowana przez **Tomasza Mana** (przez jedno n). Komuś, kto nazywa się Tomasz Man, łatwo uwierzyć w swoją wielkość. Na szczęście autor w odruchu skromności zrezygnował z napisania drugich *Buddenbrooków* czy nowej *Czarodziejskiej góry* - ograniczył się do kameralnej sztuki, w której starszy pan, jego sąsiad, córka i wnuczek w dziewięciu rozmowach udowadniają nam, że warto odważyć się realizować marzenia i szukać szczęścia, które jest w naszym zasięgu. Historia prosta jak film Lyncha o podróży przez Stany na ogrodowej kosiarce i momentami śmieszna jak czeska proza w duchu Hrabala. Niezbyt może odkrywczą, ale ciepłą i pogodną...

Niestety, autor chyba niepotrzebnie po raz kolejny sam reżyseruje swoją sztukę. Dobry teatr jest dialogiem, rozmową, ścieraniem się stanowisk. Tymczasem Man reżyseruje tekst, który sam napisał i nad którym już pracował, który zapewne zna na pamięć. Czy jest w stanie odkryć w nim coś nowego? Poprowadzić aktorów w jakąś stronę? W efekcie przedstawienie toczy się zbyt gładko, bezboleśnie. Epizodyczna kompozycja sprawia, że całość jawi się jako ciąg aktorskich etud, pokazujących pewne sytuacje i charakteryzujących bohaterów, ale z trudem budujących jakąś dramaturgię wydarzeń.

Starszy Mężczyzna (Jerzy Krasuń) przeżywa samotnie czas swojej emerytury. Czasem rozmawia z córką (Katarzyna Żuk), sąsiadem (Tomasz Kubiatoiwicz) czy wnuczką (Artur Gotz), ale każde z nich zajęte jest raczej swoimi problemami. Bohaterowi pozostają więc prowadzone we śnie rozmowy ze zmarłą żoną. I to właśnie żona podpowiada mu, że przed śmiercią powinien spełnić swoje wielkie marzenie i pojechać do Ameryki. Pierwsze trzy sceny to ekspozycja, kolejne trzy to zawiązanie akcji (przygotowania do wyjazdu), która właściwie nie ma czasu się rozwinąć. Ostatnie trzy sceny to rozmowy po powrocie z Ameryki, gdzie bohater na skutek kontaktu z indiańską mistyką przeszedł duchową przemianę. Przywieziona zza wielkiej wody Indianka Pocahontas, której nikt (łącznie z publicznością) nigdy nie widział, jest niedopowiedzianym symbolem życia w zgodzie z naturą, sercem i swoimi prawdziwymi potrzebami. Jej talizmany mogą uzdrawiać, poprawiać relacje z bliskimi albo dawać twórczą inspirację - wystarczy tylko (w nią) uwierzyć.

Właściwie to powinienem być zadowolony, bo jako widz dostałem coś, o co niejednokrotnie się upominałem: klasycznie, bez udziwnień zrobiony teatr oparty na słowie, łączący rozrywkę z dotyczącą rzeczywistości, a nie wydumanych problemów refleksją na temat życia, przyzwoite aktorstwo (najbardziej podobał mi się Tomasz Kubiatoiwicz w roli sąsiada - miałem wrażenie, jakby do Łodzi wrócił na chwilę Roman Kłosowski, dobry był też Gotz jako kandydat do Szkoły Filmowej opowiadający o swoim projekcie). A jednak czegoś zabrakło... Może artystycznego ryzyka? Zaklinanie scenicznej rzeczywistości tytułem nie zawsze kończy się dobrze.

Premiera 14 czerwca 2014 w Małej Sali Teatru Nowego im. Kazimierza Dejmka